

Jan Lechoń: O Juliuszu Słowackim

Mickiewicz zamilkł jako poeta, kiedy popadł w mistycyzm, a Słowacki wyczarował z niego takie wizje jak „Genezis z Ducha”, stworzył taki teatr, jak „Książd Marek” i taką poezję, jak „Samuel Zborowski” – pisał Jan Lechoń, przypominamy jego tekst w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Słowa(cki) i idee”.

Kto widział, jak chowano Słowackiego obok królów na Wawelu, niełatwo zrozumie, że kiedyś Małecki, wydając swoją książkę, tłumaczył się, dlaczego pisze o człowieku, który „zajmował w społeczeństwie tylko skromne stanowisko pisarza”. Aby sobie uświadomić kim był Słowacki, trzeba zestawić te fakty. Słowacki nie tylko że zajmował skromne stanowisko pisarza, ale nadto, jako pisarz, stał w oczach ogółu nie wyżej Zaleskiego; Mickiewicz ledwie go wspomniał w *Literaturach słowiańskich*; wuj Januszewski narzekał, że szlachta go nie rozumie; kiedy pisał *Samuela*, matka płakała, że się skończył; właściwie doceniło go parę ledwo najświetniejszych umysłów: wśród nich Krasiński i Norwid.

W życiu snuł się jak cień – to romantyczną modą podróżując, to chodząc po salonach, zawsze ironiczny, wykwintny, daleki. Czy kochał kogoś? Na pewno matkę, ale i tę miłość poświęcał dla spokoju pisania i marzenia. W końcu zupełnie zerwał z naszym światem, aby żyć w jakimś platońskim; na pogrzebie jego było ledwo parę osób, z rodziny nikogo.

Ale, kiedy w kilkadziesiąt lat potem – trumnę, w której była czaszka tego człowieka, piszczel i pukiel włosów, wieziono przez kraj cały, witał ją wyciągnięty od Gdańska do Krakowa, niekończący się łańcuch ludzi biednych i bogatych; wyszły naprzeciw niej chorągwie nabożnych cechów i czerwone sztandary rewolucji; matki pokazywały dzieciom tę trumnę, starcy mokli godzinami na deszczu, aby ją widzieć, panie, pięknie ubrane, i biedne wiejskie nauczycielki ze łzami w oczach rzucały jej kwiaty; najświetniejsi pisarze i zasłużeni żołnierze pełnili przy niej posługę; pokłoniły się przed nią: najwyższy majestat państwa i duma

największych czynów; i wreszcie dzwon, który dzwonił na chwałę królów i zwycięstw wiekopomnych, dźwiękiem niewysłowionej powagi odprowadził Słowackiego do królewskich grobów, „aby królom był równy”.

Trudno powiedzieć kogo witały te tłumy: czy ludzie płakali na myśl, że biedny suchotnik, który czuł taką „dziką żądzę pośmiertnego żalu”, wraca oto w takim triumfie, czy zdawało im się, że w tej trumnie są nie tylko kości Słowackiego ale i życie jego bohaterów, muzyka jego wierszy, czy też może ten królewski powrót tułacza wydał im się obrazem powróconej wolności. Ale jeśli Słowacki mógł się wydać ludziom tem wszystkim naraz: nie tylko samym sobą, ale tłumem swych bohaterów, obrazem poezji i losów całego narodu – nie zrobił dla tego nic więcej, jak tylko to, że „zajmował skromne stanowisko pisarza”.

Jego pogrzeb to był hołd dla słów i rymów, o tych słowach i rymach myślał Piłsudski, mówiąc na Wawelu, że Słowacki „zastąpił wojsko polskie”, a że to powiedział wódz tego wojska, daje miarę czarów, które sprawiły te rymy.

Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański i Żeromski stworzyli to wielkie narodowe misterium, którego pogrzeb Słowackiego był też jedną sceną. Rzeczywistość i marzenie, czyn i słowo stały się przez nich jednym wielkim tragicznym teatrem, w którym bito brawa prawdziwym prorokom i w którym nigdy się nie wiedziało, czy ktoś na scenie nie umarł naprawdę.

Dzisiaj Słowacki staje się znów tylko tymi rymami i słowami, droga do niego jest już tylko przez jego wiersze, nie przez mgłę patriotycznych nastrojów. Ale choć są wśród wierszy Słowackiego takie, które coraz bardziej będzie tłumaczyć historia i historia literatury, tak jak dawniej tłumaczyło je samo nasze wzruszenie, przez ileż jednak wciąż płynie piękność wieczna i doskonała! Z tych widzimy, że Słowacki nie tylko był wielkim poetą, Polakiem, człowiekiem, ale że jest nim dotąd. A jego zachwyty dla cudu ciągłego tworzenia połączy go zawsze ze wszystkimi zwycięstwami myśli i sztuki.

Zaczarowani jego słowami, upojeni ich muzyką, za ledwie że myślimy co one znaczą, ale choć Słowacki działał tylko przez czar sztuki, przecież działał nie tylko dla sztuki – prowadził nas zaczarowanych pięknnością do lepszego świata, między większych ludzi i do Polski nie tylko wolnej, ale i lepszej.

Zżarty tęsknotą do kraju, zbuntowany przeciw jego niewoli, dumny z jego chwały, Słowacki nie był nigdy pochlebcą swego narodu.

Nie słuchali go jego współcześni tak, jak myśmy słuchali Żeromskiego i Wyspiańskiego. Ale Słowacki przecież pierwszy powiedział narodowi prawdę o nim. *Na grobie Atrydów*, fantastycznie lutnia nastrojona dźwięczała tym samym szyderstwem co skrzypce Chochoła, a krwawiące słowa Żeromskiego o drapaniu ran, aby nie zabił niły się błoną podłości, były prawie dramatyczną parafrazą strofy z *Beniowskiego*:

*...są różne blizny,
Których rozcięcie i poodmykanie
Więcej dobrego zrobi, jak ja sądzę,
Niż dowiedzenie przez księży, że błądzę.*

Słowacki czuł czar polskiej przeszłości, takiej, jaka wtedy była – tj. szlacheckiej; nie taki to był człowiek, aby wyrzekał się ojców. Ze swoich słów kosztownych tkął „złoty, lity pas Polaka”, i jak ten pas pyszny roztoczyło się w *Beniowskim*, *Horsztyńskim*, *Złotej Czaszce* dawne życie polskie: humor Rzewuskiego, poezja Malczewskiego, które po równo miał w sobie Słowacki, wydobyły najgłębszą prawdę z tego życia. I dawna ojczyzna będzie żyć na zawsze nie tylko przez *Pana Tadeusza*, ale przez *Ilorsztyńskiego* i przez *Złotą Czaszkę*.

I był zarazem Słowacki jednym z tej prawdziwej szlachty, która zrobiła nową, nieszlachecką Polskę. On, który tak wzywał się w przeszłość, wiedział, że już nie tylko szlachta jest narodem; w jej upadku nie widział końca narodu. „A ty zląkł się, syn szlachecki!” wołał do Krasińskiego z dumą szlachcica, ale z wiarą w cały naród; w

szlachectwie widział nie przywilej, ale obowiązek; całą poezję i całą tragedię szlachty wypowiedział w pięknej i sprawiedliwej strofie o Czartoryskim.

Za to ideał równości, o który wołali demokratyczni krzykacze, był Słowackiemu obcy i wstrętny. Chciał on równości społecznej, ale nie chciał, aby „pijanego chłopca stawiać w jednej parze z pięknym i szlachetnym rycerzem”, nie chciał, żeby „duch wyższy ulegał niższemu”; marzył, że kiedyś „złota wolność” stanie się tym, czym być powinna: wolnością swobodnego rozwoju człowieka; jego poezja była ciągłą rewolucją ducha, ale wzdrygał się, „patrzac na wąsacza-Moskala, z którego mongolskiej i wychudłej cery nie światło, ale błysk żółty wychodził”. Doprawdy, żadna z tych myśli nie jest dzisiaj za stara, a wtedy jakże były odważne i własne, kiedy cała emigracja rozdzieliła się na „szlachtę” i „demokracji”.

Sprawa Polski nie kończyła się dla Słowackiego na zdobyciu wolności; myślał też o tym, jakim będzie człowiek w tej nowej Polsce, jaką będzie się ona rządzić idea. „Gwałty, grabieże, morderstwa, precz z Polski” – wołał do tych nienawróconych Kmiciców, do Kossakowskich, których pełna była wtedy Polska i których i dziś nie brak, wołał zarazem wszystkim nieprawościom, aby im zagrozić drogę do nowej Polski.

Trudno uwierzyć, że to już Słowacki genialnie nazwał i wyszydził ideał „kolorowego ułana” – tak jest aktualny ten łatwy patriotyzm, do dziś dnia zmora polskiego życia. Słowacki, który na chwałę żołnierzy oddał swe cudne słowa w wierszu o kapitanie Meyznerze i generale Sowińskim, który rzucił narodowi szyderstwo, że w nim „zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół – rycerzy – żywych” – pierwszy też zobaczył jak się w Polsce kultem ułańskich rabatów pokrywa bezwład i bezmyślność.

Jest już popularnym komunałem pojęcie Słowackiego jako przysłowiowego poety, oderwanego od życia. Coś z tego pojęcia tkwi w znanej formule: „Mickiewicz – to uczucie, Słowacki – fantazja, Krasiński – myśl”.

Słowacki z tych trzech o tyle był najbardziej poetą, że chciał być tylko poetą, był dumny, że nim jest; jako człowiek on jeden miał cudowną pozę romantyczną, i w jego poezji ciągle jest mowa o samej poezji; najpierw z młodzieńczą bufonadą, a w ostatnich latach z mistyczną wiarą w słowo.

Jeśli poezją nazwać po prostu marzenie – to Słowacki był najbardziej poetą i dlatego był tak wielbiony przez wszystkich, którym nie wystarczało tak zwane realne życie, zarówno przez świętych modernistów w sztuce jak i przez zakochanych studentów. Jednak powiedzieć o nim „poeta fantazji” znaczy umniejszyć go, sfałszować; miał on z trzech romantyków wyobrażnię największą, ale był też poetą myśli niemniej niż Krasiński.

Krasiński, mimo że autor *Nie-boskiej Komedii*, w gruncie rzeczy wobec niektórych autorytetów był bezkrytyczny, co się pokazało w *Podziemiach Weneckich*. Słowacki, tak jak w rzeczach narodu i społecznych, we wszystkim starał się oddzielić pozór od prawdy, zawsze wrażenie i uczucie sprawdzał myślą. Był dumny, ale jakże w *Listach* surowo sądził siebie; miał słuszny żal do Mickiewicza, ale nikt od niego piękniej nie pisał o *Panu Tadeuszu*; prostotę odróżniał od prostactwa i w *Balladynie* dworował sobie z poezji ludowej, fetysza tylu romantyków. Był głęboko religijny, ale walczył z księżmi; jako Towiańczyk trzymał się z dala od guseł i fantazji politycznych, w które wielu popadło; można rozmaicie sądzić jego chęć godzenia wiary z wiedzą, ale był w tym kult rozumu, że w mistyce chciał zarówno wierzyć jak wiedzieć; dlatego studiował hermetyczności, chciał zgodzić duchową ewolucję z przyrodniczą; przecież pierwsze sceny *Samuela Zborowskiego* i *Genezis z Ducha* – to jakaś Apokalipsa nauki, nie tylko wizja poety.

Są w Słowackim myśli genialne, formuły niedościgłe. Na przykład: „Być – znaczy czuć, że można nie być”. Albo: „Wielki człowiek jest ten, który jak najwięcej ma przeszłości przytomnej w duchu i jak najwięcej przyszłości w sobie zrealizowanej”. Słowacki to wielki klerk, obok Norwida największy intelektualista w naszej poezji, idealista, ale nie fantasta. Świat jego to był właśnie świat prawdziwy, świat cały: są w nim dzisiaj, przeszłość i przyszłość, sen i jawa, przenikające się nawzajem.

Świat ten był dość bliski ziemi, aby Słowacki mógł napisać *Fantazego*, ale też dość bliski zaświatów, aby napisał *Samuela Zborowskiego*. Mówiąc o Słowackim, że był „aniołem poezji”, nie mówi się metafory pierwszej z brzegu. Anioł, anielski – dlatego były to ulubione, wielokrotnie powtarzane przez niego słowa, że najlepiej określały to zawieszenie pomiędzy boskością i człowieczeństwem, którym było jego życie i poezja.

Dlatego też Słowacki rozumiał, jak nikt, wieczną walkę między złem i dobrem, dlatego stworzył dramat polski i choć wierzył w świętych i nadludzi, tyle zarazem zrobił, aby w literaturze polskiej zaczął żyć człowiek, aby stał się nieustanną grą cnoty i grzechu, upadku i wzniosłości.

Myśl Kordiana, niezdolna w czyn się zamienić; zbrodnia, czająca się w anielskich spojrzeniach, nawet w anielskich sercach; dusza narodu zamknięta w czerepie rubasznym – wszędzie zobaczył Słowacki sprzeczność, walkę, tajemnicę.

Kobieta, tak nierozumiana w naszej literaturze, wchodzi do niej razem ze Słowackim – czyż to nie dziw, że właśnie ten asceta zrozumiał ją pierwszy! – wchodzi nie tylko prowadzona przez najdelikatniejsze melodie miłości, ale i prawdziwa, pełna sekretów krwi i serca.

I oczy Marii Stuart, gotującej truciznę, – to były już te zagadkowe oczy, które zobaczył potem Przybyszewski.

W Mickiewiczu, między światem i zaświatami była przepaść bez dna i bez granic; cofnąwszy się przed nią, został na zawsze z wieczną tajemnicą w duszy, jako „posąg człowieka na posągu świata”; Słowacki przeszedł tę granicę ziemi i nieba i cała jego poezja, to jakby dwa wielkie misteria, odprawiające się u wrót do zaświatów.

Ubóstwienie człowieka i rzeczywistość świata duchowego – to była właśnie „fantazja” Słowackiego.

On sprawił, że do nieba iść zaczęli nie tylko pokorni biczownicy, śpiewacy psalmów, dawcy jałmużny, ale i gwałtownicy boży, stworzeni na obraz „lwa z pokolenia Judy”, rąbiący w bramy niebieskie karabelami, śpiewacy, kruszący je przez pieśni „ogromne, natchnięte”, wszyscy, których niepokój i żądza, gniew i miłość nie mieściły się w porządku świata. I zarazem granicą, przez którą oni weszli do nieba, spłynęły z góry nieziemskie muzyki, kolory i blaski, zeszły na ziemię dusze odwcielone, księżycowe, anheliczne – i zaczarowały nasze życie.

O religii Słowackiego mówi się dopiero kiedy mowa o jego towianiźmie, tymczasem Słowacki to przede wszystkim psychika religijna; mylił się więc Mickiewicz, mówiąc o Słowackim, że był „świątynią bez Boga”, bo Słowacki zawsze wierzył żarliwie, tylko że jego wiara miała inne dzieje niż wiara Mickiewicza.

Najpierw była to walka między pogaństwem i katechizmem; Słowacki jak dawni Grecy wierzył w bohaterów i półbogów, boskie – było to dla niego arcyludzkie, wszystko jedno: cnotliwe czy występne, byle nie na zwykłą miarę; i jak Byron przeszedł Słowacki walkę między tym greckim ideałem i sumieniem chrześcijańskim; nie tylko na twarzy Botwela i Jana Bieleckiego, nawet na twarzy Araba i Żmii też widać mękę jakichś średniowiecznych tortur duszy; gdyby Botwel nie był chrześcijaninem, cóżby sobie robił ze swoich zbrodni, które nieraz z uśmiechem spełniali bogowie olimpijscy?

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

Szekspir wybawił Słowackiego od męki tego rozdarcia. On mu powiedział, że ten sam Bóg tchnął żądzę w serce Otella i miłość w serce Romea, stworzył nikczemnym Ryszarda III, dał piękność Julii, Porcji, Violi i Desdemonie; niebo Szekspira to była grotta Prospera, z której rządził on tak samo pracą Kalibana jak Ariela.

Słowacki zrozumiał potem nie tylko byronowskich potępieńców, zrozumiał, że wielki jest kto się ofiaruje jak Anhelli, kto wytrwa jak Książę Niezłomny, kto wierzy jak Ksiądz Marek.

Ale wtedy na pozór tylko wyparł się Botweia i Jana Bieleckiego; właśnie wtedy, kiedy wzniosł się ponad nich, pojął ich naprawdę. Jego wiara mistyczna – to było właśnie podniesienie do wyżyn religii szekspirowskiej wiary w boski sens całego świata.

Słowacki głosi wtedy boskość człowieka, w którym grzech jest tylko odwróconą cnotą, ideałem jego jest Książę Niezłomny i Ksiądz Marek, ale jednocześnie tworzy Popiela, który jest zbrodniarzem z rozkazu Boga i dlatego ma siłę, której nie miał Botwel. Słowacki wołał, że powiedzie lud, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie, bo wierzył, że Bóg mieszka nie tylko w kościele ale w każdym miejscu świata, nawet w sercu zbrodniarza. I jak Lucyfer, prowadził „nieśmiertelną duszę przez wszystkie złote tajemnic otchłanie”, idąc do świętości, ale nie odwracając oczu od grzechu.

Rzeczą jest teologów badać, czy w końcu uwierzył jak katolik, czy też mary z sarkofagów egipskich, duchy Kabały i zwidzenia swedenborgjańskie zawiodły go do jakiegoś innego nieba; my wiemy tylko, że muzyka zaświatów, która rozlega się w *Samuelu Zborowskim* naprawdę nie jest z tego świata.

Myśląc o Mickiewiczu i Słowackim, rzadko myśli się o Słowackim z epoki *Samuela Zborowskiego*; przeciwstawia się za to potęgę Konrada słabości Kordiana; ręce, opuszczone bezsilnie, proroczej dłoni, wzniesionej przeciw niebu. Słabość Kordiana jest oczywiście takim samem uproszczeniem, jak słabość Hamleta. Kordian, który nie spełnił czynu, to zarazem jedyny człowiek, który chciał spełnić czyn, to pierwszy powstaniec polski. Prawda jednak, że nigdy ognia takich ludzkich uczuć, jak w *Improwizacji*, łaski takich słów prostych i wielkich nie zaznał Słowacki.

Ale kiedy duch Konrada, potrząskany Bożą mocą, tarzał się w pyłe i mógł mówić do Boga tylko pokorną modlitwą Księdza Piotra, wtedy Lucyfer Słowackiego, z podniesioną głową, poniósł do nieba sprawę wszystkich wolnych duchów na ziemi, rzucił przed Najwyższy Trybunał nie tylko krew Samuela, ale i łzy Konrada, wylane nad krzywdą świata.

I wtedy zdało się Słowackiemu, że Bóg, który nie jest tylko robaków Bogiem, i tego stworzenia co pełza, daje Konradowi tę samą czarę, którą podawano Chrystusowi na Golgocie; że krzyk Konrada zabrzmiał w niebie jak głos: „Panie! Panie! Czemuś mnie opuścił”; że jego duma człowieka położona będzie na równej wadze z cnotą świętych i męczenników:

*Bo nie ten, kto w piekło wierzy,
Tej złotej siatki pajęczej,
Gdzieś na promienistej tęczy
Wiszącej, duchem się lęka;
Ale ten, przed którym pęka
Ten świat, objęty ramiony,
Miłością serca skruszony,
Z tajemnic wypowiedany
Jak nimfa jasna i złota:
Ten tylko będzie wpisany
W ostatnie księgi żywota.*

Poprzez otchłań zaświatów on, Lucyfer, wieczny Konrad, zawołał wtedy władczego ducha Mickiewicza, który go zabijał wzgardą, jak Zamoyski ścinał Samuela; wzniosłością myśli zrównał się z Mickiewiczem, jemu to rzucił te słowa arcyłudzkie, które naprawdę tylko Bóg z innego słońca woła drugiemu Bogu:

*Jan, kanclerz, taki wielki duch ogromny.
Z serca bym wskrzesił go.*

Słowacki, o którym mówi się, że był pyszny, a przez wiarę stał się pokorny, naprawdę stał się przez wiarę z pysznego – dumny. I nie pokora chrześcijańska, ale chrześcijańska duma jest w tych słowach prostych, które są jego katechizmem jako mistrza życia:

*Ta droga moja – żyć – cierpieć – i tworzyć,
To wszystko czynię – a więcej nie mogę.*

A stał się on mistrzem życia, nie przestając być artystą: co rzadsza, rósł jako artysta, doskonaląc się duchowo, każdą ideę zmieniając w dźwięk, ruch i kolor.

I on co prawda pisał „o potrzebie idei”, mówił nawet o „świetniejszych czynach”, ale ostatecznie Mickiewicz zamilkł jako poeta kiedy popadł w mistycyzm, a Słowacki wyczarował z niego takie wizje, jak *Genezis z Ducha*, stworzył taki teatr, jak *Ksiądz Marek* i taką poezję, jak *Samuel Zborowski*.

Bogactwo – oto czym przede wszystkim był, czym olśniewał Słowacki; bogactwo rodzajów, słów, form, nastrojów, będące obrazem tej nienasyconej chłonności, tego ciągłego wrzenia, tego upojenia fantazji i myśli, w których, nie żyjąc dla świata, żył Słowacki.

Tragedia, komedia, melodramat, patos i codzienność, karkołomne sztuki wiersza i surowe ubóstwo prozy, historia i współczesność, życie i książki: Szekspir, Dante, Swedenborg, Kabała, Platon, Calderon, Balzac, podobno nawet Pixérécourt, – wszystko to jest w Słowackim, ale tak stopione w cud jego poezji przez jego własne czary, że jest zarazem tylko nim jednym, jedną wizją największego przepychu, niebywałego rozmachu i koloru życia.

Zdawałoby się, że rozlewność słów, dochodząca w ostatniej scenie *Samuela* do jakiegoś kosmicznego pieniactwa, to jest właśnie najprawdziwszy Słowacki; ale Słowacki to zarazem autor wiersza o Sowińskim, w którym niema rymów i właściwie parę słów ciągle się

powtarza, wiersza – arcydzieła najnowszej poezji, która sama nie zdobyła się na równe; Słowacki to szął blasku i koloru, ale przecież Anhelli jest jakąś whistlerowską gamą szarości i bieli, jest jakby grafiką przy wielkim malarstwie Słowackiego.

Ten sam człowiek, który jako autor facecyj radziwiłłowskich byłby w sam raz literacką kompanią dla Paska, Rzewuskiego i Sienkiewicza, wzniosł się do patosu Samuela; ta sama astralna ręka, która *W Szwajcarii* zdawała się ledwie muskać rzeczywistość słowami, indziej stawała się mocną dłonią rzeźbiarza, kującego takie słowa jak wiersz o papieżu słowiańskim, wiersz *Na sprowadzenie prochów Napoleona*, albo *Rozmowę z piramidami*; prawie w tym samym czasie pisane były wiersze mistyczne i tłumaczenie *Iliady* – i o Słowackim łatwo mówi się, że miał manierę.

Mówiąc o Słowackim „romantyk”, nic się prawie o nim nie mówi, nic zwłaszcza o jego formie; słusznie też doskonały krytyk formalny wpływ Calderona na Słowackiego nazywa po prostu wpływem baroku; jedno słowo, a jakież rzuca światło na odrębność Słowackiego w naszym romantyzmie. Rzeczywiście, nieludzki, pokręcony kształt życia w *Księżu Marku* i *Śnie srebrnym*, ozdobne słowa, gwałtowne kontrasty – toż to właśnie barok, wielki barok polski, którego u nas w XVII wieku nie było.

Barok, zupełna deformacja rzeczywistości jak w *Samuelu* i wiersz bez rymów jak wiersz o Sowińskim, oto poza strofą klasyczną, której arcydziełem jest przekład fragmentu *Iliady*, cały dzisiejszy arsenał polskiej poezji, cała jej strona formalna, tak często wysławiana jako współczesny dopiero wynalazek.

Idea czystej formy w poezji, jeśli nadać jej znaczenie jedynie możliwe, nie nonsensu, ale marzenia, niezmaconego życiową logiką, logiki snów i przywidzeń, z których wynika nie jeden jakiś sens, ale falowanie całej naszej psychiki jak pod wpływem miłości, to, o co wołają dzisiaj nowatorzy i czego nie doczekają się, zanim znów taki anioł jak Słowacki nie zstąpi na ziemię, to wszystko jest: w scenie zamkowej Kordiana, w wierszach *Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają*, *Anioły stoją na rodzinnych polach* i przede wszystkim w *Samuelu Zborowskim*. W

Królu-Duchu idea jest mistyczna, ale forma przeważnie dawna, logiczna. W *Samuelu* odprawia się czar po dziś dzień w poezji niebawiały: sen zmienia się w rzeczywistość, a rzeczywistość w marzenie; życie pełne namiętności przelewa się nie przez ludzi, ale przez duchy; sens i bezsens, myśl i uczucie jakimś nieziemskim prawem zestrzają się w akordy cudownej harmonii; krzyk ludzkości, chóry anielskie, szmery astralne z sarkofagów egipskich, wielkie echo prapoczątku świata, ryk żywiołów – łączą się w jedną przepotęzną symfonię, jakby wydając największe sekrety Boga, pierwszego tworzenia i tworzenia bez końca.

I nie tylko sama sugestia słów jest w *Samuelu* nową zupełnie poezją. Jako plastyka teatralna (o konstrukcji trudno mówić, bo jej nie znamy) przechodzi on zuchwalstwem wszystko, na co się ważył teatr romantyczny, a przy natchnieniu myśli Słowackiego dzisiejszy ekspresjonizm jest tylko łoskotem teatralnych maszyn. I pomyśleć, że Słowacki pisał *Samuela* w czasie kiedy w teatrze nie śniło się jeszcze o chórach, o światłach, maszynach, zdolnych go odtworzyć, że był jak wielki muzyk, tworzący symfonię, zanim powstała pierwsza orkiestra.

Częste zdanie, że lepiej jest poczytać niż słuchać Słowackiego, można usprawiedliwić nie tylko tem, że sztuka deklamacji jest tak rzadką, ale i ubóstwem środków realistycznego teatru, w którym dotąd szarzało to, co jest równą muzyczności siłą Słowackiego: czar jego wyobraźni.

Wspaniała technika nowoczesnego teatru, nowy reżyser mogą ten czar wywołać, wydobyć z *Kordiana*, z *Beatrix Cenci* i z *Balladyny*: nie tylko dźwięk słów, ale i kolor, i światło; mogą rozpętać skrzydła fantazji Słowackiego, która jeszcze niedawno dreptała po scenie w baletowych spódniczkach; mogą grać nie tylko dramatyczną akcją, ale i dramatyczny nastrój Słowackiego.

Dzisiaj, kiedy znów triumfuje melodramat, nie trzeba chyba tłumaczyć wartości melodramatu Słowackiego, który jest obok Sienkiewicza największą w Polsce sztuką dla tłumów, a wspaniałe melodramatyczne sceny Żeromskiego też mogą bronić takich sensacyjnych arcydzieł jak *Mazepa* i *Beatrix Cenci*.

Nikt, nawet Mickiewicz nie zrobił tyle co Słowacki dla rozwoju polskiej poezji. Mickiewicz był geniuszem, najprostsze słowa tak przenikał sobą, że stawały się wielką sztuką, ale jego techniką poetycką był on sam, sekret jego poszedł z nim do grobu. Słowacki był nie tylko poetą, ale i literatem, pracował nad językiem, świadomie dobierał słowa, pieścił się mową klasyków, to też stworzył słownik, będący po dziś dzień największym skarbem polskiej poetyki, nie tylko dał poezji polskiej miękkość, łamliwość, ale tak przeniknął sobą naszą sztukę poetycką, że po prostu trudno mówić o wpływie na nią Słowackiego, jak się nie mówi o wpływie na poetów gramatyki.

Kto chciał się popisać polskim wierszem, musiał go świadomie, albo nieświadomie naśladować, jak Konopnicka, Rydel, Gomułicki. Każdy wirtuoz rymów śnił po nocy niedościgłe fioritury *Beniowskiego* i każdy w końcu widział po własnych wierszach, że jednego Słowackiego „pieściła oktawa”.

Później, za Młodej Polski wpływ ten jeszcze się pogłębił. Słowacki stał się dla niej tym, czym dla nas Norwid, poprzednikiem jej idei i myśli; mniej naśladowano już jego rymy i tematy, jak to robił Rydel w *Zaczarowanym Kole*, za to mistycyzm, indywidualizm, stosunek sztuki do życia, formy do treści – wszystko to w Młodej Polsce było odziedziczone po Słowackim albo mu pokrewne.

Przybyszewski, rozmyślając nad morzem o miłości i śmierci, musiał wspominać nieraz nabożnie, że kiedyś Słowacki słuchał huku fal oceanowych, które mu zwierzały tajemnice ciągłych odrodzeń; Miciński, patrząc „w mrok gwiazd”, starał się czytać w nich te same prawdy, co Słowacki, a z jego wierszy mistycznych uczył się poetyckiej alchemii; to Eloë i Ellenai poprowadziły Jacka Malczewskiego do „ziemi mogił i krzyżów”, a może i rusałki przyszyły go kusić z tego właśnie świata, który odkrył Słowacki. Pozornie najdalszy był Słowackiemu Wyspiański, bo miał rym prosty i słownik ubogi, ale naprawdę to on właśnie był jakby nowym wcieleniem tego nigdy nie wcielonego ducha; tak jak on „dziwny i duchowy” i tak jak on jasno-widzący życie. Po Słowackim przejął jego największy zamysł, aby wskrzesić „proch, zamknięty w narodowej urnie”, jak Słowacki szukał Polski w bolesławowskim jej początku, wsłuchiwał się w liry starych rapsodów.

Wesele był to ten sam dramat, który wstrząsnął Słowackim gdy dumął nad grobem Agamemnona. Złoty róg – czyż nie był to ten sam symbol co harfa Wenedów? Czyż nie dlatego, że obiecał Słowackiemu, „naprowadził” Wernyhora „i łabędzi i rycerzy i hetmanów” do bronowickiej izby? I wreszcie w Wyspiańskim rozegrała się ta tragiczna walka między życiem a sztuką, którą zwycięsko stoczył Słowacki, i kiedy Erynje ścigały Konrada, spełniały tylko zemstę zapowiedzianą w Samuelu:

*Jeśli Ty duch przełamiesz swój,
Jeśli Ty nas odgonisz w mgłę,
To wtenczas drzyj, a silnie stój,
Bo my jak psy jesteśmy złe.*

Kto się boi, że Słowacki w naszym nowym życiu będzie widmem dawnych klęsk i cierpień, jeszcze jedną marą wawelską, niech pomyśli, jak od burz młodzieńczych szedł do coraz głębszych radości, że przeszedł przez ten świat „jak anioł i dandy”, że nie tylko żył, cierpiał, płakał, ale i cieszył się z nami, że chciał dać narodowi wolność ducha i radość.

W poezji jego jest cała gama śmiechu, nie tylko patetyczne szyderstwo z *Grobu Agamemnona* czy z *Przygotowania* do Kordiana: jest rumiany śmiech szekspirowski w *Horsztyńskim*, *Janie Kazimierzu*, *Złotej Czaszce*; jest uśmiech ariostyczny, bez którego nie sposób wyobrazić sobie Słowackiego, uśmiech niby na myśl, że on jeden zna tajemnicę lepszego świata. Nawet wśród zachwyceń mistycznych snuł jeszcze Słowacki wizje groteskowe, jak rozmowa Lucyfera z patrami w Samuelu.

I jeszcze jeden uśmiech, ten, w którym pomieszane są łyzy tęsknoty i wspomnień z pokorą „Pana gwiazd i akwilonów” wobec „wewnętrznej dobroci ludzi i prostoty”; z tym uśmiechem kołędował w piekarni pani Strażnikowej, pochylał się nad dziecinnym imionnikiem Zosi Bobrówny; z tym uśmiechem słuchał, jak Szczęsny wyrzuca Horsztyńskiemu, że nie umie smakować w poezji, a on mu odpowiada: „Lubię hymn *Święty Boże, Święty Mocny*”.

Nie tylko przez mistyczne wzniesienia, ale i przez dar uśmiechu nad ludźmi i sobą doskonalił się Słowacki, może nieraz wołał, jak Norwid: „Bez skrzyknięcia wstecz ironii, gdybyż to można zrobić coś”, ale i ta ironia przecież zrobiła, że nie stał się Fantazym, tylko napisał *Fantazego*.

Uśmiech w *Fantazym* to już coś więcej niż ironia, niż dowcip; jest to jakby uśmiech boski, uśmiech sprawiedliwości i dlatego o tej właśnie komedii najszlachetniej by można powiedzieć „boska komedia”.

Pokazana jest w niej właściwie ta sama droga moralnego rozwoju człowieka, którą później rozświetlił Słowacki blaskiem zaświatów, tylko że tutaj stoi ona w jasnym słońcu komedii; ręka prorocza, która nas po niej prowadzi, jest jak ręka Chopina „alabastrowa, ma wzięcie, szyk i dotknięcie chwiejne jak strusiowe pióro”.

Na dnie sztuki komicznej najczęściej leży pesymizm; budzi ona zachwyty, bo prawdziwie przedstawia grzechy ludzkie, ale ten zachwyty nie jest przecież radością.

Słowacki rozumiał wszystkich ludzi, nie tylko Respektów i Rzecznickiego, ale i majora, i Jana, i kapitana Meyznera, i generała Sowińskiego, widział nie tylko czym człowiek jest, ale także czym być może, że nawet w takiej duszy lokajskiej, jak Rzecznicki, tli się coś lepszego, że można człowieka dobyć nawet z pod takiej góry kłamstwa jak Fantazy; i ta jego wiara w człowieka jest radością, która bije z jego komedii, mimo, że kończy się ona śmiercią; ta wiara to najpiękniejszy uśmiech w *Fantazym*.

W *Fantazym* mamy trzy rodzaje ludzi, niby trzy wcielenia genezyjskie. Najpierw: Respekt i Rzecznicki – źli i głupi, później Idalia i Fantazy – mądrzy ale tylko książkową nauką i kochający tylko fizyczną piękność, i wreszcie Jan, Dyanna i Major. Major nie jest ideałem człowieka, ale zna wyższe piękno i przez swoją śmierć uczy go Fantazego i Idalię: oni to staną się prawdziwymi ludźmi, kiedy pojmą tę jego naukę.

I odtąd ta wiara w człowieka nie gaśnie już w Słowackim. Mistycyzm Słowackiego nie był ucieczką od człowieka tylko żądzą poznania go do głębi; kiedy pani Bécu łamała ręce, że jej syn nie widzi już ziemi, a on naprawdę więcej przestawał z duchami niż z ludźmi, wtedy właśnie rodziła się w nim radość ostatnia, mająca uśmiech Sokratesa, gdy sławi na uczcie miłość nieśmiertelną.

Słowacki, uczący Heloizę i Heliana, budzący z popiołów Hera Armeńczyka, to nie był już wygnaniec, co ze wstydem odwracał oczy od mogiły termopilskiej; teraz czuł się sam wolnym Grekiem, który był na uczcie u Agatona i tam usłyszał jakby pochwałę własnego życia, wznoszącego się ponad ziemską żądzę do wiecznej miłości.

I poczuł przez chwilę tchnienie tej pogody, przez którą tak wielki był Mickiewicz, tę radosną mądrość grecką zdobywał nauką całego życia i u jego schyłku cudownymi słowami błogosławił w *Królu-Duchu* wszystkiemu co żyje i słowami Zawiszy Czarnego powiedział, że drogie mu są zarówno radość jak smutek.

I wtedy z grobu Agamemnona wyszły naprzeciw niemu nie jak kiedyś krwawe mary, dyszące zemstą i zalane łzami: pokazał mu się bohater wolnego kraju, niby jakiś grecki Piast gospodarny, spokojny i szczęśliwy.

I wtedy Słowacki połączył się z nami. Poczuł tę wolność, którą my czujemy. I jego słowa cudowne zabrzmiały jak słowa prawdziwego Greka:

*Pieszko mógł Agamemnon... a laurowym gajem
Jeśli gorąco... cieniem idąc i powoli
Popołudniu wyszedłszy... gadać z Menelajem
O sprawie Greków albo o pługach na roli...*

Jan Lechoń

Tekst stanowi przedmowę do zbioru *Dzieła*, który ukazał się w 1930 roku w Warszawie.